

Wyniszczać się, by osiągnąć tryumf!

Arkadiusz Robaczewski

nowa ewan- geli- zacja

WRoku Wiary i po Synodzie, na którym biskupi dyskutowali o nowej ewangelizacji, powstają liczne programy duszpasterskie, przy konferencjach episkopatów krajowych są powoływane złożone z kompetentnych ludzi zespoły i komisje, które usprawnią działanie i zapewnią skuteczność nowej ewangelizacji. Niech tak się stanie! Niech te programy zaowocują zazielenioną winnicą, rozkwitem wiary, rodzinami, w których jest ona przekazywana!

Nieustannie zastanawia mnie jednak, i to pytanie wciąż domaga się odpowiedzi, dlaczego potrzeba dziś nowej ewangelizacji? Cóż takiego się stało, że głoszenie Ewangelii straciło swą moc, stało się jałowe, a chwasty antyewangelicznych ideologii wyrosły bujniej niż kłosa ewangelicznego, pięknego, owocnego przepowiadania i życia. Kiedy to się stało? Czy można wskazać jeden inicjacyjny moment, czy też raczej szukać trzeba przebiegu procesu?

Nie odpowiemy w tym tekście na powyższe pytania. A są one, owszem, i naglące, i trudne. Pójdźmy jednak i w tę stronę. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku, gdy nagle uświadomiono sobie, że głoszenie Ewangelii w świecie, który gwałtownie oddalił się i oddala od jej życiodajnego źródła, jest od jakiegoś czasu jałowe, zaczęto poszukiwać metody na udziśnienie (*aggiornamento*) ewangelicznego przekazu, na uczynienie go nie tylko możliwym do przyjęcia, lecz zrozumiałym i pociągającym dla człowieka.

Nie wiem, jak było w poprzednich epokach, gdy dokonywały się przełomy, czy również zbierały się komisje, tworzone sekretariaty, powoływano zespoły eksperckie, by znaleźć skuteczną metodę zachowania żywotności Ewangelii. Raczej nie. Powstawał za to zakon, zgromadzenie, święty, który był odpowiedzią na nowe

czasy i dokonywał *aggiornamento* Ewangelii i Tradycji. Nigdy jednak nie była to rewolucja, a raczej odkrywanie na nowo i czynienie świeżym tego, co wiecznotrwałe, a co zostało przykryte jakimś świeckim, obcym czystości wiary elementem.

Czy dziś zostaliśmy tak wyjałowieni, że jesteśmy w stanie wygenerować jedynie komisje i zespoły eksperckie? Być może tak. Położyliśmy ufność w zerwaniu z tym, co minione, w przekreśleniu „tego, co było”, jako bezwartościowych, nawet nie tyle zużytych, co nigdy naprawdę nieużytecznych narzędzi. Proszę popytać księży, tych z młodszych roczników zwłaszcza, jak wyglądają w seminariach wykłady z historii liturgiki. Jest ona, w dużym skrócie, podczas kursu seminaryjnego przedstawiana tak: było wspaniałe środowisko Kościoła pierwszych wieków, potem wieki ciemne z coraz bardziej nabrzmiewającą liturgiczną chorobą zakończoną słoniowaczną rubrycystyczną, która to wstrętna choroba o mały włos nie doprowadziła do upadku Kościoła. Na szczęście została cudownie zażegnana dzięki balsamom i leczniczym aromatom wytworzonym na II Soborze Watykańskim, a zwłaszcza przez reformę liturgii, którą ów Sobór zainicjował. Tak jest nie tylko w dziedzinie liturgii – zmiana dotyczy też wielu dziedzin doktryny i duszpasterstwa. Dokonywane analizy¹ tych zmian mówią o znaczącej, choć ukrytej horyzontalizacji przekazu chrześcijańskiego – w ramach *aggiornamento* Kościoła. Być może najpełniejszy wyraz znalazł ów proces horyzontalizacji w słynnych, do dziś spornych zdaniach Konstytucji Duszpasterskiej *Gaudium et Spes: Wedle niemal jednomyślnej opinii wierzących i niewierzących, wszystko, co jest na ziemi, winno być podporządkowane człowiekowi jako swemu celowi i szczytowi*².

Rzeczywiście, szereg działań duszpasterskich po II Soborze Watykańskim jest nakierowanych antropocentrycznie. Bóg zostaje usunięty z centrum, przestaje być „celem i szczytem”; celem i szczytem, jak chce soborowa konstytucja, staje się człowiek. Dla człowieka przygotowana jest liturgia, to on jest punktem odniesienia w czasie subtelnych, ale jednak wyraźnych przesunięciach w znaczeniu celów: małżeństwa, życia zakonnego, kapłaństwa, wychowania i nauczania, polityki i wielu innych dziedzin.

W samej liturgii już choćby zmiana języka jest wyrazem antropocentryzmu – liczy się człowiek z jego dążeniem do rozumienia,

¹ W języku polskim fundamentalną pracą o tych zmianach pozostaje *Iota Unum* autorstwa Romana Amerio, Warszawa – Komorów 2009.

² *Gaudium et spes*, art. 12.

do ogarnięcia rozumem nawet tego Misterium, które przecież nieskończenie nas przekracza, wobec którego możemy tylko w milczeniu klęczeć i które jest niepojmowalne: że Bóg stał się Człowiekiem i umarł na Krzyżu dla naszego zbawienia, i zmarłychwstał jako Pierwszy z umarłych, by każdy miał otwartą drogę do Nieba. Próba przebicia, uchwycenia tej Tajemnicy ma swe źródło w mniemaniu, że intelektualne uchwycenie formuł modlitewnych stoi wyżej niż pokorne wznoszenie duszy ku Bogu, którego nie sposób pojąć i ogarnąć.

Zreformowana liturgia jest dziełem już nie tylko kapłana, ale wspólnoty wiernych, która *na równi* z kapłanem składa Ofiarę. W takim stanie rzeczy to wspólnota zaczyna odciskać piętno na liturgii – piętno swojej mentalności, uczuć, wrażliwości, zwyczajów przenoszonych spoza Kościoła, z różnych obszarów świeckości. Już wiadomo, co jest konsekwencją splotu tych dwóch tylko czynników – zmiany języka na „zrozumiały” i postawienie „na równi” z kapłanem wspólnoty. Znika obiektywizm, niezmiennosc, transcendencja liturgii. Szczytowe miejsce, w którym Niebo styka się z ziemią, a ziemia sięga Nieba, nagle staje się zespołem czynności, słów, gestów, znaków, gdzie na pierwszym miejscu są one same i ci, którzy je wykonują, a nie rzeczywistość czy raczej Rzeczywistość, której mają służyć i której mają być podporządkowane.

Oddajmy głos Josephowi kard. Ratzingerowi: *Ubolewania godny wydaje mi się fakt, że w nowym rytuale [Chrztu św.] zamiast tej głębokiej odpowiedzi (kandydat mówi, że pragnie od Kościoła wiary i życia wiecznego jako jej daru) znalazła się inna, banalna odpowiedź (kandydat mówi, że pragnie chrztu) [...]. Z dialogu chrzcielnego znikł moment transcendencji, a jako cel całej czynności pozostał tylko empiryczny akt udzielenia chrztu. W poprzedniej odpowiedzi była cała głębia wydarzenia, jego tajemniczy paradoks.*

Transcendencja, jako punkt odniesienia, a także jako cel, zniknęła z naszych poczynań liturgicznych i aktów religijnych, zniknęła też, siłą rzeczy, z codziennego życia. Liturgia, choć z teoretycznym dowartościowaniem wspólnoty, ma zagwarantować przede wszystkim indywidualność przeżycia – nie jest już obiektywnym aktem Bożej obecności. Stąd mnożenie i modlitw mszalnych, wyrażających poglądy jakiegoś kościelnego nurtu, ale też pojawienie się mniej lub bardziej wyraźnych aberracji, które

mają swe źródło w konieczności dostosowania praktyki liturgicznej do potrzeb lub „charyzmatu” tworzącej liturgię wspólnoty. W czasie przeprowadzania reformy uchylono nie te drzwi, które uchylić należało, i wciąż wdziera się przez nie niezdrowy nurt, nurt zerwania, a nie ciągłości. W rezultacie w społeczeństwach Zachodu zupełnie niezrozumiały stał się obowiązek, jaki ma stworzenie wobec Stwórcy – oddawanie czci Panu Bogu – któremu zadość czyniła dawna liturgia. Niezrozumiała jest konieczność instytucji Kościoła do osiągnięcia zbawczych łask czy nadprzyrodzoność liturgii i jej niezbędność w uświęcaniu naszej codzienności jej oddziaływania w życiu. Po co? Horyzontalny Kościół nic nie wnosi poza kodeksem zakazów moralnych. Stąd niezrozumienie chrześcijańskich wymogów moralnych, czyli takich „drobiazgów” jak czystość przedmałżeńska, istotowe zło antykoncepcji lub to, że codzienne życie jest realną walką o kształt naszej wieczności i domaga się specjalnych środków: ascezy, postu, pokuty, ofiarnej modlitwy, jałmużny. Te rzeczywistości, wymogi są rzeczywiście niezrozumiałe bez odniesienia do nadprzyrodzoności. Wymaganie od małżonków, którzy nie widzą nadprzyrodzonego sensu aktu małżeńskiego, otwartości na życie w każdej sytuacji, to domaganie się pogańskiego heroizmu. Próżny trud w tym hedonistycznym świecie. Oskarżenia wobec Kościoła o moralizowanie są zasadne i będą dopóty, dopóki nie wskaże się na nowe miejsca, w którym człowiek może w źródłowy sposób odnosić swe życie do nadprzyrodzoności, miejsca, które nie jest z tego świata, a w którym uobecnia się z mocą, realnie i niezastępowalnie Bóg żywy, Syn składający Ofiarę za grzeszników – czyli liturgii, zwłaszcza Mszy św. Tu jest potężne pole do pracy, by ukazać liturgię jako źródło i szczyt chrześcijańskiego życia. Czy antropocentryczna liturgia powstała po II Soborze Watykańskim może wypełnić to zadanie? Warto wskazać w związku z tym na kolejną konieczność: odkrycia, którego Kościół w swej instytucjonalnej postaci musi dokonać: waga gestu Ojca Świętego przywracającego powszechność prawa odprawiania „starej” Mszy.

Bezdroża nowej ewangelizacji

Odrzuciliśmy, w imię dowartościowania człowieka, barokowy sztafaż, niepotrzebne gesty, moralny, bezduszny rygorizm. Czy

jednak wraz z tymi, jak się wydawało, niepotrzebnymi akcydensami nie naruszyliśmy istoty tego, co święte, a zatem niezbędne? Przecież niedługo (albo raczej wcale) radowaliśmy się osiągniętymi rezultatami – okazało się, że kościoły pustoszeją, że porzucenie zasad na rzecz dowartościowania i zrozumienia człowieka oznacza *de facto* jego degradację. Porzucenie liturgicznych oków nie doprowadziło do osobistego spotkania z Jezusem. Odrzucenie religijnych atrybutów, zewnętrznych form – nie zaowocowało wzrostem wiary. Przeciwnie. Papieże mówią o cichej apostazji, o prawdziwym kryzysie. Rok Wiary ogłoszony przez Benedykta XVI nie jest ogłaszany przy dźwięku fanfar oznajmiających sukces i rozkwit wiary, a także obecność chrześcijańskich zasad, według których żyją kontynenty i narody. Przeciwnie, *motu proprio* Benedykta XVI, wprowadzające w Rok Wiary, pełne jest wyciszenia i wskazywania, że trzeba wiele rzeczy zacząć „od nowa”. Nie w takim znaczeniu jak codziennie od nowa zaczynamy zmagać się z trudnościami drogi, idąc do jej kresu. Raczej chodzi tu o rozpoczęcie niektórych dróg od nowa, jak po falstarcie, albo po odkryciu, że droga, którą zaczęliśmy kroczyć – prowadzi do nikąd. Zatrzymujemy się wówczas, zawracamy i zaczynamy od nowa. Parę lat wcześniej ten sam Papież jako wzór kapłaństwa w XXI wieku ukazuje wiejskiego proboszcza wyniszczającego swe życie ascezą i spalanego przez służbę dla Bożej chwały. Która to służba, o zgrozo!, przejawia się w liturgicznym bogactwie i rubrycyzmie.

Dlatego należy żywić pewność, że najważniejsze środki nowej ewangelizacji to nie wielkie spektakle i niezwykłości, bicie w bębny i krzyk dziesiątek tysięcy gardeł wyznających głośno i wspólnie wiarę. To także nie świadectwa indywidualnego „spotkania z Jezusem”. Nowa ewangelizacja to codzienna walka, która wypływa z cichej modlitwy; to ciche składanie ofiary z siebie za braci, przede wszystkim za wrogów, za tych, którzy są wokół mnie. Tak ciche, jak Ofiary Mszy sprawowane każdego ranka w parafialnych kościołach i kaplicach.

Pragnienie niezwykłości jest czymś zupełnie naturalnym; jest ono uruchamiane przez głód tego, co nas nieskończenie przekracza. W każdym człowieku jest umocowane *naturale desiderium Dei*. Nie da się go żadną siłą usunąć, można natomiast je oszu-

kiwać i zwodzić. Jednym ze sposobów zwodzenia jest zastępowanie trudu żmudnego wysiłku budowania swej więzi z Panem Bogiem, poszukiwaniem cudownego przeżycia, które mnie zwolni z tych codziennych praktyk, na które zwykle składają się asceza, ćwiczenia duchowne, systematyczna, często opancerzona rutyną modlitwa. Stąd łatwo już do ulegnięcia pokusie: zostałem specjalnie dotknięty, nie muszę iść drogą innych grzeszników. Zostałem bardziej uduchowiony i nie muszę uduchowiać się przez codzienny trud i rutynowe czynności.

Nawet jeśli „dotknięcie” w czasie wielkiej ewangelizacji rzeczywiście następuje, to i tak zaraz potem przychodzi oczyszczające oziębienie. My jednak uciekamy od tego, co niesie rozczarowanie zwykłością, przyzwyczajenie, rytmiczność codzienności. A jednak, zwłaszcza w sprawach Boskich, musimy nie tyle uciekać od tego, co codzienne, lecz przeciwnie – czerpać z codzienności siłę i iść w głąb tej rzeczywistości, rutyny liturgii, rutyny codziennej modlitwy, banalnego chodzenia do kościoła. To jedna z subtelných, ale też najbardziej groźnych pułapek tego świata: budzenie w nas przekonania, że wierność przepisom i zrodzona przez porządek rutyna oznacza śmierć ducha, a ciągłe łamanie konwenansów, rubryk i poziome przekraczanie granic – rodzi ducha i wolność.

Na tym schemacie oparta jest cała współczesna antykultura. To z niego pochodzi siła niszcząca np. instytucję małżeństwa. Liczy się przeżycie, a nie trud ożywiania i czynienia gorącymi i życiodajnymi codziennymi relacjami, w których musimy zadawać sobie śmierć. Szkoda, że nader często przenosimy te postawy na nasze życie religijne. Poszukujemy dreszczyku emocji i aury niecodzienności. Spotkanie nowej ewangelizacji przypomina sanatoryjny wypadek dojrzałych żon i mężów: ludzie zostawili swoje parafie i duszpasterzy dla podratowania swej wiary, ale przede wszystkim po to, by przeżyć coś niezwykłego, podobnie jak znudzeni małżonkowie wyjeżdżają osobno do sanatorium, by podreperować zdrowie, choć to tylko pretekst, ważniejsze bowiem są wieczorki taneczne i ekscytacja z nimi związana.

Zostawili parafie. Tak, każdemu od czasu do czasu trzeba świętowania i oderwania od codzienności. To odświeża, oczyszcza, zapala. Ale czy w codziennym duszpasterstwie zbyt łatwo nie odstawiliśmy takich rzeczywistości jak nabożeństwa okresowe

(majowe z Litanią do Najświętszej Maryi Panny, czerwcowe z Litanią do Najświętszego Serca Pana Jezusa, lipcowe z Litanią do Najdroższej Krwi Chrystusa Pana), parafialne Drogi Krzyżowe i Gorzkie Żale, październikowy Różaniec, poranne adwentowe Roraty? Czy zbyt łatwo nie zaprzestaliśmy wysiłku ożywczego czerpania mocy z tego, co Kościół daje? Może warto w parafiach wsunąć w rękę młodym stare dzieła mistrzów duchowości: *O naśladowaniu Chrystusa, Traktat o prawdziwym nabożeństwie do Najświętszej Maryi Panny*, może warto zaproponować jako formę rekolekcji Ćwiczenia Duchowne? Nie jako powrót do dawnych form, ale jako podłączenie się pod arterie, którymi płyną ożywcze soki. Korzystanie z tych metod i form ma moc przemiany duszy, zacieśniania więzi z Bogiem. Przynajmniej u tych, którzy zachowali jeszcze choć szczątki wiary. Im trzeba ukazać wartość wierności w codzienności, a nie proponować eskalację wzruszeń wywołanych religijnymi fajerwerkami. Jeśli Kościół jest znakiem sprzeciwu w świecie, niechże będzie poprzez i ten znak: wierności zwykłej, starej religijności, obumierania w niej pragnienia ciągłej ekscytacji na rzecz wierności temu, co zwyczajne, a jednak przecieć przez swe Boskie pochodzenie – niezwykajne. Paradoksalnie w tej wierności, jeśli jest konsekwentna, rodzą się w końcu ożywcze dla życia duchowego strumienie. Tak było, jest i – miejmy tę nadzieję – będzie.

Spektakularna – stadionowo-placowa ewangelizacja bez dwóch zdań wskazuje już nie na kryzys, ale na śmierć codziennego duszpasterstwa. Nie ma go nawet dla ludzi młodych. Można poszukiwać ekscytujących wydarzeń, *wieczorów chwały*, ewangelizacyjnych dyskotek czy innych form „przyciągających”. Zdaje się jednak, że to gonienie świata albo tylko naśladowanie skazane jest na smutną, może trochę śmieszną przegraną. Ostatecznie i tak wrócimy do tego bogactwa, o którym zaświadcza piękny fragment polskiej literatury, który opisuje, jak bywały w świecie człowiek, który to i tamto widział, powraca do kościółka swego dzieciństwa i młodości:

Potem wyszedł ksiądz ze mszą. Na widok tej mszy i tego kościółka pamięć Połanieckiego znów wróciła do lat dzieciennych, gdy bywał tu z matką. Mimo woli rodziło się

w nim zdziwienie, jak dalece na wsi nic się nie zmienia prócz ludzi. Jednych składają na księżej grudzi, drudzy się rodzą, ale nowe życie podstawia się w dawne formy i kto przyjeżdża po długiej niebytności, z daleka, temu się здаje, że to wszystko, co poprzednio widział, było wczoraj. Kościół był ten sam; nawa była równie pełna płowych głów chłopskich, szarych sukman, czerwonych i żółtych chustek oraz kwiatów na głowach dziewczek; tak samo pachniało kadzidłem, świeżym tatarakiem i wyziewami ludzkimi. Za jednym z okien rośla ta sama brzoza, której cienkie gałązki wiatr, gdy się podniósł, rzucał na okno i przesłaniając je, napełniał kościół zielonawym światłem; tylko ludzie byli nie ci sami: część tamtych rozsypywała się sobie spokojnie w proch lub wydostawała się trawą spod ziemi; ci zaś, którzy zostali jeszcze, byli jacyś pochyleni, zgarbieni, mniejsi, jakby powoli zasuwali się pod ziemię. Połaniecki, który chlubił się tym, że unika wszelkich zagadnień ogólnych, a który w gruncie rzeczy, mając jakby niewyłonioną jeszcze dostatecznie z wszechbytu słowiańską głowę, zajmował się nimi mimo woli ciągle, myślał teraz, że jednak jest okropna przepaść między tą wrodzoną ludziom namiętnością życia a koniecznością śmierci. Myślał także, że może dlatego wszystkie systemy filozoficzne mijają jak cienie, a msza po staremu się odprawia, iż ona jedna obiecuje dalszy i nieprzerwany ciąg.

Msza trydencka, ta *po łacinie i tyłem do ludu* – to Msza na każde czasy! Także na „te” czasy: czasy nowej ewangelizacji. Także na te, które dopiero nadejdą, niezależnie od tego, jaki przybiorą kształt. W każdym czasie jakąkolwiek szansę wiązania człowieka z Bogiem, także pomocy w wykonywaniu jego podstawowego obowiązku – oddawania czci Bogu, ma wyłącznie taka liturgia, która nie jest z tego świata, nie jest jego fabrykatem, co więcej – taka, która jest obca duchowi tego świata i duchowi czasu. Która nie nosi znamion antropocentryzmu i nie pełni funkcji terapii afektywnych deficytów. Słowem – liturgia nieprzystosowana! Nieprzystosowana do nowych czasów i do mentalności współczesnego człowieka, cokolwiek to oznacza. Tylko taka, żadna

inna! Wciągnięcie ducha tego świata do liturgii, próby czynienia z niej rzeczywistości zrozumiałej dla tego świata to iluzja, która, dziś widać to zupełnie wyraźnie, przynosi opłakane skutki. Liturgia stara uderza swą odmiennością wobec codzienności. Cisza, majestat, gesty, pietyzm wyrażony w szatach, śpiewie, dymie kadzidła – ukazują niewyobrażalny dystans oddzielający Niebo od ziemi. Rzeczywistość starej Mszy jest przy tym radykalnie inna, przeciwna wobec tego, co dzieje się w świecie. Świat jest pełen zgiełku i hałasu – Msza jest wypełniona ciszą. Świat jest pełen chaotycznych postaw i niskich zachowań – Msza uderza uporządkowanym majestatem. Świat rozbudza egoizm i skoncentrowanie na sobie, na każdym kroku stwarza okazje, by człowiek wznosił ołtarzyki, na których będzie czcił sam siebie – na Mszy kłękamy przez Majestatem Boga i siebie, wraz z Jego Synem – ofiarujemy. Duch ofiary jest niewątpliwie „nie z tego świata”. Jeśli Kościół i chrześcijanie mają „żyć w świecie, ale nie dla świata”, mają być „znakiem, któremu sprzeciwiać się będą” – Msza św. w tradycyjnym rycie w sposób doskonały do takiej postawy usposabia. To święta liturgia rzymska, jak tego dowodzi historia, jest w stanie przetrwać walący się świecki porządek i przez burze dziejowe i walące się cywilizacje przenieść nietkniętą wiarę. Czy ci, którzy z niej czerpią, tą Mszą żyją, w jej rzeczywistości oddychają – nie są narzędziami nowej ewangelizacji?

Kiedy w 2007 roku Ojciec Święty Benedykt XVI potwierdzał w *motu proprio Summorum Pontificum* pełne prawa Mszy św. Trydenckiej, raz jeszcze wyrażając wolę, by była sprawowana bez ograniczeń, które w ostatnich dziesięcioleciach narosły, pojawiły się wówczas głosy, że jest to akt łaski wobec lefebrystów czy też tych, którzy „wciąż są przywiązani do dawnych form liturgicznych”. Że to dla tych, którzy „w ewangelicznym marszu zatrzymali się przy formach i nie dają się prowadzić Duchowi”. Takie jednak odczytanie chyba nie było oddaniem treści prawa zawartego w *Summorum Pontificum*. Benedykt XVI, jak mało kto, przenikliwie widzi krajobraz spustoszenia i potrzebę „nowej ewangelizacji” na terenach, gdzie niegdyś rozkwitało chrześcijańskie życie. Akt przywrócenia do pełni praw „starej Mszy” odważnie wpisuje się w program nowej ewangelizacji. Bowiem ta Msza ewangelizowała świat – była odprawiana we wspaniałych kate-

drach, cichych klasztorach i w lichym Ars, w stodółach i barakach, na polach bitew, w kościołach w mniejszych i większych miastach, a także wszędzie tam, dokąd docierali misjonarze z Ewangelią. Dlatego jeśli Papież przywraca, a jego współpracownicy zabiegają, by była jak najpowszechniej sprawowana, sprawowana, jak ujął to Dario kard. Castrillon Hoyos, *w każdej parafii*, to nie po to, by stworzyć konkurencję wobec nowego *ordo Missae*, ale by na nowo ewangelizować świat przez liturgię, która sprawdziła się w tym dziele od czasów Imperium Rzymskiego aż po XX wiek i która tak wyraźnie i niepodważalnie stawia Chrystusa w centrum i Bogu Jedynemu oddaje cześć. Taki jest sens podstawowy, zasadniczy „powrotu do starej Mszy”. Ustawienie Chrystusa składającego z siebie Ofiarę Ojcu i rodzącemu Miłość ponownie w centrum świata. Czyż nie o to chodzi w nowej ewangelizacji?

Powrót do „starszej” Mszy i do starszych form pobożności nie ma w sobie nic, ale to nic z eskapizmu. Przeciwnie! Pisał Arnold J. Toynbee: *Nieuniknionym celem ruchu, który wydaje się być archaiczny, jest w rzeczywistości nowy początek.*

Żyjemy w świecie pogańskim, wręcz antychrześcijańskim. Czy Kościół ma coś nowego do przeciwstawienia światu? Czy upodabniając się do niego zewnętrznie, będzie w stanie przenieść swój drogocenny ładunek? Czy chcąc być atrakcyjny dla ludzi tego świata – nie straci swej tożsamości?

Historia Kościoła, historia ludzi wiary poucza, że nie ma w tym świecie bitew zakończonych i zwycięstw przypieczętowanych – poza Zwycięstwem na Golgocie. Dla chrześcijan wszystkich epok pozostało tylko zwyciężanie, nieustanne doskonalenie się w sztuce żołnierza Kościoła walczącego, który nieraz musi dać się wyniszczyć, by osiągnąć tryumf. ■